



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

W wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20, półrocznie rsr. 3 kop. 60, kwartalnie rsr. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie: kwartalnie rsr. 2 kop. 50, półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

Ekspedycyja główna w księgarni wydawcy
Ulica Nowy-Świat Nr 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartał. flor. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 20.

KATARZYNA Z MACIEJOWSKICH

WAPOWSKA

przez

K. Wł. Wójcickiego.

Po śmierci Zygmunta Augusta, ostatniego z rodu Jagiellonów, nowo-obrany król, Henryk Walezy, przybył z Paryża i wspaniały wjazd do Krakowa odbył w d. 21 Lutego 1574 r.

Panowie polscy rycerska szlachta, wysadzali się na przepych w stroju i zbroi, tak oni sami jak i czeready ich dworzan. Zjazd był tak liczny, że i czeready te zbrojne i strojne, jak współczesny świadek opisuje, mogły stanowić potężną armię, którą

„Można się było zastawić przeciw Turkowi,
I przeciw największemu nieprzyjacielowi“

Tak się wyraża *Maciej Strzykowski*, znany kronikarz, który ten dzień uroczysty dla kraju i starego grodu, uczcił poematem, i wszystkie szczegóły wjazdu i koronacji nam podał¹⁾.

Cheąc być świadkiem tak niezwyklej w dziejach chwili i ujrzeć pierwszego króla elekcyjnego, *Jędrzej Wapowski*, *Kasztelan Przemyski*, wraz z młodą i piękną swoją małżonką, *Katarzyną z Maciejowskich*, zjechał do Krakowa i do zamku na Wawelu przybył.

Henryk Walezy po swej koronacji, w Rynku

obszernym zasiadłszy na tronie w królewskim ubiorze i majestacie, hołdy od książąt lennych i miasta Krakowa odbierał.

Liczny orszak Francuzów przybyłych z młodym królem, wielką chorągiew na zamku zetknęli, jako znamię obecności monarchy, i na cały dziedziniec nawieźli wielką moc piasku, a to w celu, aby mający tam wyprawiać *turnieje* i *gonitwy*, spadając z koni, nie razili się zbyt znacznie.

Wokoło szranek utkwili dwadzieścia cztery kopie, gdyż tyłu rycerzy spotkać się miało. Między temi była jedna, *Samuela Zborowskiego*, wraz z opartą tarczą, noszącą na sobie napis, iż ktobykolwiek życzył sobie (byle równy urodzeniem i godnością) spotkać się z nim, gotów jest kopię skruszyć na cześć i za zdrowie królewskie.

Zdarzyło się, że sługa Jana hrabi *Tęczyńskiego*, *Kasztelana Wojnickiego*, *Janasz*, Kroat, o samym zmroku idąc tamtędy, wyrwał kopię *Samuela*, dotknął tarczy—i wziął kopię z sobą, mówiąc, że ze *Zborowskim* potykać się będzie.

Zborowski, rozjątrzony, mniemając, że *Tęczyński* na pogardę jego, wysłał obcego, nierównego mu człowieka, również jednego ze swych dworzan, szlachcica *Moszczyńskiego*, wyznaczył do gonitwy z Kroatem; sam zaś przez poufanych do osobistego pojedynku wyzwał *Tęczyńskiego*. *Tęczyński*, widząc w tym nieprzyjacielski zamiar, kazał powiedzieć *Zborowskiemu*, że czyn *Kroata*, stał się bez wiedzy i woli jego, i że on bynajmniej nie miał chęci go obrażać. Nieprzystając na tem, *Zborowski* znowu siedzącego *Tęczyńskiego* w senacie, w obecności króla, przez domowych swoich, wyzwał.

Sprykrzywszy sobie tak napastnicze postępowanie zuchwałego warchoła, wyszedł z senatu i udawszy się do *Zborowskiego*,

— Dosyć—rzecze—usprawiedliwiłem się przed tobą, że ani z rozkazu mego, ani wiedzy mojej, kopia twoja przez *Kroata* wyrwana była. Lecz jeżeli i na tem nie porzestajesz, zaraz gotów będę do

boju; zaczekaj tylko przez chwilę, aż sekundanta poszukam.

Podawszy sobie ręce, rozeszli się. *Tęczyński* pośpieszył do domu, aby się do walki przygotować.

W tę chwilę król, wracając z senatu, zatrzymał się w miejscu, gdzie *Kroat Janasz z Moszczyńskim* gotowi do gonitwy byli. Natychmiast obadwaj, przy niezmiernym tłumie ludu, w całym pędzie rozpuściwszy konie, uderzyli na siebie.

Moszczyński, tarczy *Kroata* nieobraziwszy, jednak go kopią dzielnie przywitał. *Kroat* niżej zmierzwszy kopię, przebił kulbakę, ugodził *Moszczyńskiego* w łędźwie, a nieprzystając na tem, dobył spod kolana szabli, byłby powtórzył ranę, gdyby go krzyk *Węgrów* nie powstrzymał. Upominaniem tem, zastanowiony *Kroat*, oddał miecz i na bok odjechał.

Zborowski, rozjątrzony tą porażką *Moszczyńskiego*, jako swego dworzanina, porwawszy ostry *czekan*, posunął się ku *Kroatowi* i byłby go zabił, gdyby go obecni nie powstrzymali.

Król, patrząc na wszystko, posłał *Marszałka koronnego*, ażeby wszyscy ci zapaśnicy, pod karą życia i sławy, natychmiast oddalili się z zamku.

Zborowski, w zapalczywości nie na to niezważając, gonił za *Kroatem*, aż dla uniknienia zabójstwa, *Firlej*, *Marszałek wielki koronny Janasza z zamku* w bezpieczne miejsce uprowadzić rozkazał.

Już wszyscy według żądania królewskiego wyszli z zamku, sam tylko *Zborowski*, ostatni prawie, nad wieczorem wychodził, zionąc zapamiętałe gniewy na króla broniącego mu przystępu, to na *Kroata*, to nakoniec na *Tęczyńskiego*, co się tak długo spóźniał. Wpółnoc zapalczywości gniewu, na samym wyjściu z zamku, spotyka *Tęczyńskiego*, postępującego ze znacznym dworzaniem orszakiem. Wszczyła się kłótnia między wchodzącymi i wychodzącymi, przeciwnicy dopadają koni, i na podwórzu już uderzają na siebie, gdy *Wapowski*, *Kasztelan Przemyski*, obecny na zamku, wprzód jeszcze z *Samuelem Zborowskim* w nieprzyjaźni żyjący, wpada

¹⁾ Prześlawnego wjazdu do Krakowa i pamięci godnej koronacji *Henryka Walezyusza*, księcia z *Andegawy*. (Kraków, 1574 roku).

pomiędzy godzących na siebie, ażeby walkę zamierzoną wstrzymać, gdy od Samuela dwa razy uderzony ostrym czekaniem, traci przytomność.

Z obu stron dworzanie i słudzy, dobywszy oręża, powiększają tumult: wtem piechota Tęczyńskiego wystrzeliła z kilku rusznic; wieść obiega, że Samuel ranny w nogę. Na ten huk i wrzawę, lud z miasta cisnąć się na zamek zaczyna; król, przewidując niebezpieczeństwo, bramy zawrzeć rozkazuje. Samuel udał się ze swym orszakiem na miasto, Tęczyński kazał rannego Wapowskiego nieść do króla.

Kasztelan Przemyski, po wierzchu ubioru, zwyczajem owoczesnym, miał przewieszoną skórę lamparcią. Ta, krwią z ran w głowę zadanych sposobiona, znaczyła ślad przejścia po drodze. Scenie tej poświęcił J. Matejko obraz, w którym śmiertelnie rannego Wapowskiego niosą na pokoje Henryka Walezyusza.

Wapowski, zebrawszy ostatek sił, głośno uskarżał się przed królem na niegodziwość postępku i wielkość zbrodni Zborowskiego.

Niedługo potem z odniesionych ran ciężkich umarł, a śmierć ta rozjątrzyła bardziej umysły. Żądano surowej kary na mordercę. Krewni Wapowskiego i Tęczyński z jednej, Zborowscy z drugiej strony, przychodzili do króla, bądź z zażaleniami, bądź z usprawiedliwieniami.

Młoda wdowa przygotowała pogrzeb zamordowanego małżonka. Sama, piastując na ręku małego synka, oraz otaczając ją matrony, dworzanie i służba, w grubej żałobie, wiedli mary śmiertelne.

Cały ten pochód smutny zatrzymał się przed zamkiem. Śpiew żałobny kapłanów towarzyszących pogrzebowi, odbił się o jego mury i połączył z odgłosem dzwonów katedry Wawelskiej, które zdawały się rzewnym tonem żegnać przed czasem zmarłego Kasztelana.

Weszła wdowa i matka nieszczęsna na pokoje królewskie, szeroko żale swe roznosząc, płaczem o wymiar sprawiedliwości wołając.

Król, w mniemaniu, że wpływowi zamożnego wówczas domu Zborowskich wybór swój na tron polski zawdzięczał, a nadto, otoczony licznym grotem przyjaciół Samuela Zborowskiego, po wniesieniu sprawy całej do senatu, skazał zabójcę na wygnanie z kraju, bez utraty cześci i sławy.

Po odczytaniu wyroku żadna z dwóch stron zadowolona nie była.

Zborowscy uważali wyrok za zbyt surowy; Wapowski za zbyt łagodny: wstrzymano się więc od podziękowania za osądzenie sprawy, a wdowa zabitego Kasztelana, żalana łzami, niemogąc wstrzymać się od złorzeczeń na króla, zawołała głośno:

— Jeżeli tak na mężobójców masz być sprawiedliwym, niechże ten twój wyrok będzie ostatnim!

Były to słowa prorocze rozbolełej matrony, niedługo bowiem Henryk Walezyk opuścił Polskę, i drugiego wyroku już nie wydał.

Katarzyna z Maciejowskich Wapowska w młodym wieku owdowiała, gdyż kilka lat tylko żyła z mężem, a rękę mu swą oddała licząc siódemnasty rok życia.

Straciwszy poprzednio kilkoro dzieci, a wkońcu, patrząc z rozdartem sercem na zwłoki zamordowanego małżonka, prawdziwie pobożna niewiasta, pocieszała się w swem sieroctwie słowami:

— Pan dał, Pan wziął: jako mu się podobało, niech Imię Jego będzie błogosławione.

W dwudziestym szóstym roku życia, przywdziawszy grubą żałobę, już jej do końca życia nie zdjęła; rozdała świetne swoje szaty z aksamitu i materyj jedwabnych na ozdoby dla kościołów.

Dnie całe spędzała około wychowania syna jedynaka, na pracy przy gospodarstwie domowym, na staraniu około chorych i ubóstwa, zapobiegając mu wszędzie gdzie mogła.

Ulitowała się biednej młodzieży i w Jarosławiu dom cały najęła, aby w nim najubożsi mieszkali, zaopatrywani we wszelkie potrzeby odzienia i pożywienia. Kładła za jedyny warunek swej opieki macierzyńskiej to, żeby się pilnie pacholeta uczyły i moralnie zachowywały.

Lubiła czytać książki pobożne i swoje myśli i uczucia na ich marginesach kreśliła.

Pomiędzy wszystkimi, najwyżej ceniła dzieło: *Tomasza a Kempisa*: „O naśladowaniu Chrystusa Pa-

na,“ które z namaszczeniem ducha powielekroć odczytywała.

Pomimo, że żyła bez skazy, nie brakło potworców, szczególnie z zagniewanego stronnictwa Zborowskich.

Drukowali na nią paszkwile, omawiając złośliwie.

Gdy jej o tem doniesiono, Kasztelanowa, spokojna we własnym sumieniu, z pogodnym odpowiadała obliczem:

— My to czytamy, co Panu Bogu powinniśmy; oni, nagadawszy się, mówić przestaną!

W obejściu ze służbą swoją i licznym dworem, była wiele baczna i jeżeli miała kogo skarcić za uchybienie, brała go na osobność i poważnym, oględnym słowem, wykazywała zły postępek lub zaniedbanie w obowiązkach przyjętych.

Cały dwór usilnie się też starał, aby nie dawać powodu do takiej *admonicyi* dobrej, miłosiernej i światobliwej swej pani, którą wszyscy czcili i kochali.

Stale od pierwszych lat zamężcia zamieszkiwała dworzec obszerny w miasteczku *Dynowie* (1).

Od chwili pogrzebu małżonka dworzec ten przybrał charakter raczej klasztoru, niżeli mieszkania zamożnej kasztelanowej.

Ochotnie tu zajeżdżali liczni kwestarze z ubogich klasztorów, każdy pewny pomocy i zasiłku dla swego zakonu: przemieszkowali tu chętnie kapłani, podejmowani gościnnie, a potrzebni byli, bo pani kasztelanowa zawsze rozciągała troskliwą opiekę nad sędziwymi a w opuszczeniu będącymi włościanami i kobietami wiejskimi, których nietylko żywiła i odziewała, ale w chorobie sama starannie pielęgnowała.

Właśnie przebywał na jej dworze obciążony laty stary dziad z pobliskiej Dynowa wioski, który, zawzięty gniewem na swoją synową, nie chciał jej widzieć i gniewu swego się wyrzec, grożąc przekleństwem jej samej i jej potomstwu.

Daremnie go biedna kobieta przejednać się starała.

Kasztelanowa, widząc starca tak twardego w zaciętości swojej, a pragnąc pojednania w rodzinie, tembardziej, że już był blizki zgonu, przebiera się w suknie znienawidzonej synowej: pada mu do nóg, a gorącym błaganiem, rzewną prośbą, wymówioną słodkimi, pełnemi miłości i religijnej myśli słowami, przelamuje ten zacięty opór.

Zmiękczony tą pokorą, niepostrzegłszy podstępny, przebaczył ukorzonej, a wyrzekając się gniewu i zawziętości, spokojnie żyć przestał, błogosławiąc, (miasto zapowiadanego przekleństwa) żonę swego syna i wnuki swoje.

Biedna i stroskana synowa, dowiedziawszy się o łaskawem przebaczeniu starca, ze łzami radości, na kolanach rzewnie kasztelanowej dziękowała, bo jej spokój i szczęście rodzinne przyniosła.

Na lat dziesięć przed zgonem, często na zdrowiu zapadając, Wapowska z pokorą chrześcijanki znosiła cierpliwie dolegliwości swoje; niezaniebrywała obowiązków swoich jako pani domu, matka, opiekunka chorych i ubogich.

Pragnąc pamiątkę swej pobożności zostawić, od wielu lat przygotowywała sprzęty i aparaty dla kościoła.

Czując się coraz słabszą, testament własną ręką napisała, zobowiązawszy syna, aby ozdobny kościół w *Dynowie* fundował.

Dobry syn, Stanisław Wapowski, życzenie swojej matki ziścił, która wszystkie swoje klejnoty na monstrancję przekazała.

Za życia swego we wsi *Chyżna* kościół piękny wystawiła, spełniając pragnienie na łożu śmiertelnem objawione przez pobożnego księdza, który przez lat wiele w tej wiosce gorliwym był plebanem.

Po wielu cierpieniach w dzień piątkowy 1596 roku zakończyła kasztelanowa Wapowska życie.

Ciało jej z należną czcią pochowano w kościele farnym w *Dynowie*. Lud tak z miasteczka, jak wioski okolicznych, który czcił zmarłą jako światobliwą panią, całe obicie z trumny i cząstki jej

szaty porozrywał, zachowując je sobie jako najdroższe relikwie.

Stefan Batory, ceniąc wysoko cnoty i zasługi dla ludzkości położone kasztelanowej Wapowskiej, publicznie na sejmie jej imię wysławiał, stawiając ją za wzór innym niewiastom polskim.

Jan Zamojski wielce ją szanował, z upodobaniem listy jej odczytywał, a gdy schwytał zabójcę kasztelana i na zamku Krakowskim ściąg rozkazał, uwiadomił ją o tym ostatnim akcie krwawego dramatu, w którym, utraciwszy ukochanego małżonka, wdowie szaty przywdziała.

Wyrok Henryka Walezyusza uwolnił od słusznej kary zuchwałego Samuela Zborowskiego, członka bogatej i zamożnej rodziny możnowładców, ale głowy banity nie wahał się wielki Zamojski oddać pod miecz katowski.

Sprawa ta w dziejach panowania Stefana Batorego zajmuje jedną z kart najbardziej ożywionych; wraz z pamięcią tej sprawy, przechowała się i pamięć dostojnej Katarzyny z Maciejowskich Wapowskiej.

SĄSIEDZI

POWIEŚĆ

z podań szlacheckich z końca XVIII-go wieku

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Panna Blandyna namyślała się; podniosła oczy pytające na ks. Dagiela.

— Im prędzej się to skończy, tem lepiej — wtrącił proboszcz — jestem przekonany, że intencje sędziego są dobre. Tać się na nie nie przyda.

Z obawą wielką, wahając się, panna Blandyna oświadczyła naostatek, że, ponieważ brat jej syna do Wilna, do Kasztelanowej wyprawił, prawdopodobnie tam się młode małżeństwo znajdować musi. Zaraz jednak dodała, że nie jest tego pewną.

Czemeryński jak tylko nie pochwylił, conajprędzej pożegnał Strukezaszankę, proboszcza i powrócił do domu. Dla niego nie ulegało wątpliwości, iż w Wilnie powinien był szukać córki. Uspokoiwszy żonę, sam conajręchlej wybrał się w drogę do Wilna.

Miłość dla Leonilli, była pewnie jedną z pobudek tego pośpiechu, ale niemniejszą — pragnienie zemsty nieukozonej.

I gdy w Wilnie, wcale nie myślano, aby ich tu kto mógł wyspiegować, jednego dnia pan sędzia pieszo z gospody przy ulicy Wileńskiej, przeprowadzony przez żydka, który mu drogę wskazywał, zjawił się w pałacowej bramie.

Zwykła wrzawa i nieład panowały w siedzibie pani Kasztelanowej. Wypadkiem tylko jakimś, marszałek dworu Płachciewicz, do którego na warcabę dnia tego Franciszkanin przyjść nie mógł, znajdował się niedaleko wrót, zajmując się gwałtownym robieniem porządku po swojemu. Napadały na niego takie nagłe momenta gorliwości. Przez miesiąc czasem nigdzie nie zajął; potem jak burza spadał na gawieź, i — na grzbiecie stróży kończyło się to porządkowanie.

Właśnie z ogromną wrzawą indagował marszałek winowajcę, gdy zoczył w bramie mężczyznę poważnego i, ręką nakazawszy milczenie powołanym przed sąd, sam osobiście zwrócił się ku gościowi, z figury i stroju domysłając się w nim kogoś dostojnego.

— Wszak nie myślę się, jest to pałac pani Kasztelanowej? — zapytał sędzia.

— Tak jest! tak! — odparł Płachciewicz, jasnie pan daruje, że tu wpadł na takie larum, ale to z tem byłem, z pozwoleniem, inaczej nie można jak siecz, bij i łaj!

Otarł uznojone czoło.

— Wszak młody Hojski z żoną, mieszka także w pałacu? — zapytał sędzia grzecznie, ale dumnie.

(1) Dynów, w Galicyi w obwodzie Sanockim na lewym brzegu Sanu, blisko gościńca głównego, prowadzącego z Przemyśla do Koszyc na Węgrzech.

Marszałek nie sądził, aby z tego tajemnicę robić było potrzeba.

— Tak jest, schody na prawo, na pierwszym pięttrze — rzekł Płachciewicz — jasnie pan pozwoli, ja dam przewodnika.

— Hej! Pietruszka! — krzyknął.

Zjawił się w negliżu chłopak, ogryzający kość, która rzucił.

— Prowadź do państwa młodych.

To mówiąc, marszałek, który czuł, że aż do zbytku spełnił obowiązek gościnności, zlekka się skłonił, i z furją powrócił na dziedziniec, porządkować dalej podwładnych.

Erazm i Leonilla siedzieli najspokojniej na berżerze, szepejąc coś sobie i patrząc w oczy, gdy jak widmo straszne zjawił się przed nimi Czemeryński w progę. Po pierwszym okrzyku, Leonilla zerwała się i zamiast do nóg paść ojcu, który stał z twarzą zagniewaną i bladą, na szyję mu się rzuciła postarému. Erazm potrzebował nieco czasu aby przyjąć do siebie; wstał i za żoną poszedł, ale do nóg Czemeryńskiego się zniżył.

Sędzia zdawał się nie chcieć go widzieć, ale córka już odzyskała swą odwagę, swe panowanie nad ojcem.

— Tatu — zawołała, klękając przed nim — chcesz mieć mnie, musisz przyjąć tego, którego ja wybrałam. Ja go nie opuszczę, losy jego dzielić będę.

Dopiero zmuszony, sędzia, zwrócił się ku zięciowi, coś mrużąc niewyraźnie.

— On nie nie winien — dodała śmiało młoda pani — winniśmy oboje, a głównie — ja! Gniewaj się na mnie, jeżeli chcesz — ja inaczej nie mogłam być szczęśliwą. Kocham go.

Czemeryński słuchał, to się poddając urokowi głosu odzyskanego dziecka, to jeszcze burząc się na widok Hojskiego.

— Jegomość pan Erazm Hojski nie będzie się dziwował — rzekł Czemeryński — że go od razu serdecznie witac nie mogę — wie on najlepiej dlaczego. Nadto wiele przykrych wspomnień niesie mi jego nazwisko.

— Które jest moim teraz — kochany ojciec — przerwała Leonilla. Potrzeba zapomnieć, darować. Wstrząsnął głową sędzia.

— Po to tu przybyłem, abym zapewnił was, że — przebaczyłem, odezwał się — proszę tylko nie zawiele wymagać odemnie, bo i tak czynię wiele.

To mówiąc, córkę uściskał.

— Matka twoja — rzekł, unikając spojrzenia na Hojskiego — chorowała dosyć mocno; teraz się ma lepiej. Mam nadzieję, gdy powrócimy do niej wszyscy, że całkiem ozdowieje.

— A bona? — spytała Leonilla.

Zmarszczył się mocno sędzia, ręką rzucił.

— Niema jej — rzekł krótko — i dobrze zrobiła, że pojechała zawczasu precz. Ona była wszystkiego przyczyną, jej to sprawa! jej!

Leonilla poczęła ścisnąć ojca.

— Nie mów tak — odpowiedziała — ja jestem szczęśliwa, niepowinieneś narzekać na to. Przyśięgam ci, poszłam dobrowolnie, wybrałam go — i gdybym jutro miała do wyboru, jego z tysiącami bym wzięła.

Erazm pochwylił ją za rękę i pocałował. Czemeryński, widząc, jak córka wprost z jego uścisku schyliła się ku mężowi, nie mógł powściągnąć jakiegoś mimowolnego ruchu, w którym się wstręt i niechęć malowały.

Podano krzesło przybyłemu.

Milczeli wszyscy; jedna Leonilla szezebiotała potrosze; położenie było przykre, bo z twarzy Czemeryńskiego czytała córka, że wybuchnąć może ochwila.

Płachciewicz, który tego dnia był nadzwyczaj czynnym, oznajmił p. Ostrogradzkiej, że jakiś bardzo słuszny pan poszedł z wizytą do młodych; ta oznajmiła o tem Kasztelanowej, a staruszka, ciekawa zawsze i niecierpliwa, narzuciwszy peruczkę, poszła zaraz nareszcie się przekonać, kto tam był taki. Właśnie gdy Czemeryński siedział, walcząc tak z sobą, weszła pani domu. Sędzia powstał. Przygotowanym był na wyszukany komplement.

— Pani kasztelanowa dobrodziejka dozwoli mi u stóp swych złożyć należny hołd i wdzięczność za łaskawą opiekę nad córką moją.

— Pan sędzia! — krzyknęła staruszka żywo. —

O mój Boże! Co za szczęście, zatem z jejnej strony wszystko skończono!

Ale, padnijcież mu do nóg! Erazm, natychmiast, do nóg panu sędziemu, Leonciu, ty z nim — pobłogosław!

Zmieszany Czemeryński, który połowę komplementu miał jeszcze w sobie, zbił się z tropu. — Dzieci klęczały, kasztelanowa nalegała — musiał błogosławić.

Staruszka tak napędce spełniwszy co było najpilniejszego, natychmiast już myślą skoczyła gdzie indziej.

— Asindziej u mnie na obiedzie! A! zmiłujcież gdzie ta Ostrogradzka, żeby sztuka mięsa była dobra, a może barszcz lubisz?

Czemeryński osłupiał.

— Niech-że Bogu najwyższemu będą dzięki, ciągnęła dalej staruszka. — Ja-bo mówię zawsze, że nigdy desperować nie trzeba w najgorszym położeniu.

A jakżeś się acan dobrodziej dowiedział, że dzieci są u mnie? od kogo? jakim sposobem?

Czemeryński przyznać się nie chciał, wybknął, że się tego domyślił, przeczuł, dopytawszy się, iż p. Erazm jest w Wilnie.

Nazbyt było pilno Kasztelanowej rozgadać się z Ostrogradzką o wypadku, aby tu długo wytrwać mogła. Przemówiła jeszcze słów kilka, wstała, zakręciła się.

— Zatem, ja czekam z obiadem, jeszcze mam mnóstwo na głowie! Nie uwierzysz acan dobrodziej, niech dzieci powiedzą, co to ja za nieszczęśliwa z temi interesami. A oto i sejmiki u nas, piszą z Warszawy o posłów — i to na mojej głowie. Wszystko! a tu pani Hetmanowa z Wojewodzina się popstrykały, kto godzi? — ja! Jak Bóg miły! historye! Gdzież Ostrogradzka? Zostawiam pana dzieciom. Pamiętajcież na obiad być gotowemi.

Wysuwała się już śpiesząca pani, którą Czemeryński do drzwi odprowadzić czuł się w obowiązku.

Nagle wtargnięcie gospodyni domu miało ten szczęśliwy skutek, że sędziemu dało ochłonąć i ostygnąć z gniewu, jaki w nim widok zięcia obudził. Wrócił do myśli, z którą tu przybył.

— Ja tu — rzekł obracając się do córki, ku której ciągle unikając Hojskiego, pochylał się — ja tu długo bawić nie mogę. Przybyłem po to, ażeby was zabrać z sobą do Łopatycz.

Leonilla spojrzała na męża.

— Pan sędzia — począł Erazm.

— Mówże ojciec! — poprawiła żona.

Czemeryński się namarszczył, lecz nie zaprzeczył.

— Ojciec — wyjąknął z trudnością Erazm — pozwoli może, ażebym ja uprzedził przybycie nasze wspólne i sam naprzód pojechał. Mój ojciec dotąd zapewne nie wie.

— Nie wie — potwierdził sucho Czemeryński, ale niema potrzeby stawić się waćpanu przed nim osobno. Na miejscu rozważymy co uczynić wypadnie.

— A tak! — potwierdziła Leonilla, przyciągając męża ku sobie — tak — ja cię osobno nie puszcze. Jeżeli stawić się mamy, będę miała odwagę iść z tobą.

— Potem o tem! — przerwał nagle sędzia. — Na miejscu dopiero rzeczy się pokombinują. Nam ztąd należy conajrychlej wracać do domu. To moje żądanie, rozkaz mój.

Młodzi milczeli, patrząc na siebie; Erazm stał zamyślony mocno. Czemeryńskiemu widocznie świadek ten niewygodny zawadzał; rad się go był zbyć. Naostatek pociągnął z sobą córkę do drugiego pokoju. Erazm, — któremu odchodząca czynna dała znak, ażeby miał mężstwo — pozostał sam. Cała groza położenia przebiegła mu w piersiach ogniem, w głowie błyskawicą. Stawał niejako w obozie przeciwnym ojcu, w przymierzu z jego wrogami. Znał nadto dobrze Strukezaszycę, by sobie łatwym wyobrazić mógł zwycięstwo. W Czemeryńskim czuć było także, nie przejednanie i czułość, ale zawziętość jakaś, na chwilę pohamowana.

Gdyby nie ona, gdyby nie ta ukochana! Dla niej musiał cierpieć — a tego, co go czekało, ani podobna było przewidzieć. Ale z nią i dla niej gotów był na wszystko. Przed oczyma miał groźną twarz ojca. Zdawało mu się, że leżał u nóg jego i czuł jak go — odepchnął od siebie. Dla miłości tej ko-

biety, w istocie zdradził ojca, czuł się winnym! Zimny pot występował mu na czoło.

Stał jeszcze w tych myślach zatopiony, gdy Leonilla weszła sama. Czemeryński odszedł był do siebie, obiecując na obiad powrócić; ona wprost przybiegła uwiesić mu się na szyi.

— Nie trwóż się! — widział! — ojciec mój przebaczył, twój musi uczynić toż samo. — Ja z tobą, ja cię nie odstąpię. — Nie ty, ja go będę prosiła o przebaczenie.

Poczęli szeptać z sobą, Erazm, jeśli się nie uspokoił, musiał udać spokojniejszego. Aż do obiadu siedzieli razem. Leonilla była tak ożywiona, szczęśliwą, pewną siebie i władzy swej nad rodzicami, że mężowi nie dała się ani troszczyć, ani stęknąć. Zatykała mu usta.

Przy obiedzie Kasztelanowa tyle rzeczy opowiadała, Czemeryński był przez nią tak obłączony, iż o młodem małżeństwie mowy wcale nie było. Sędzia tylko zrzęcznie wtrącił, iż mu dla chorej żony nadzwyczaj było pilno powracać do domu, wraz z córką (nie wymieniał zięcia), i że nazajutrz wieczorem, za gościnność złożywszy powinne dzięki, radby wyruszyć w podróż.

Oparła się temu Kasztelanowa, pragnąc sędzię zapoznać, przy drugim obiedzie, z osobami wpływowemi, któreby mu się w przyszłości wielce przydać mogły. — Czemeryński w każdym innym razie nieochybnie-by przyjął z wdzięcznością tak pożądane zaproszenie; ale teraz — teraz jedno miał na myśli: powrót conajrychlejszy do Łopatycz i rozprawę ze Strukezaszycem. Próżne więc było naleganie.

Po obiedzie Kasztelanowa o mało się nie rozplakała; przywykła była do tych dzieci przybranych — zabraknąć ich miało w pustym domu. Łamała ręce. Szczęściem ta tęsknota nie mogła trwać długo, bo w naturze Kasztelanowej było z dnia na dzień zmieniać i przywiązania i wstręty — a zapominać wszystko.

Całą resztę dnia tego pakowano się na pierwszym pięttrze, sposobiono do drogi. Czemeryński pomimo zabiegów córki, zięcia unikał, nie zwracał się wcale ku niemu, zaledwie mu odpowiadał — nie widział go. Kilka razy Leonilla wymówiła to ojcu na ucho.

— Daj-że mi czas, ażebym się do niego przyzwyczaił — odparł Czemeryński — nie sposób, abym od razu miał pokochać. Niech na to zasłuży.

Pożegnanie z Kasztelanową było jaknajczulsze, spłakała się, ścisnęła dzieci, a że przewidywała dla Erazma wiele prób ciężkich, i serce miała dobre — choć sama w interesach, zapożyczyła się gdzieś, aby mu wcisnąć zasilek na drogę.

Odmówić chciał Hojski.

— Bierz, nie pytaj — rzekła — oddasz mi później. Kto wie co cię czeka; nie trzeba, ażebyś był na łasce. Hojski jesteś.

Nazajutrz wprawdzie mocno żałowała staruszka, że to w pierwszym uczyniła popędzie, Ostrogradzka też jej to ganiła — ale już było po czasie.

Przez zasy pnieczne ekwipaż sędzię zwolna się przedzierał ku Łopatyczom.

Podkomorzy Buchowiecki, jak wielu ówczesnych panów i półpanków, życie prowadził bardzo czynne i rzadko go w domu zastać było można. Stosunki przez zięcia ze dworem dały mu teraz znaczenie pośrednika pomiędzy nim a obywatelstwem. Oparły się o niego interesa najrozmaitsze, własne i cudze. Nigdy nie frymarczono tak urzędami, starostwami, dobrami, wpływem, jak pod koniec panowania Augusta III. Pan Podkomorzy należał do najczynniejszych pracowników w tej winnicy.

Ciągle też był na wozie, na saniach, w Warszawie, w Białymstoku, w Dreźnie, w Grodnie na sejmiku jakimś, zjeździe lub kommissyi; w domu — gościem prawie.

I nie dziw, że o przyjacielu swym Czemeryńskim dowiadywał się tylko przez ludzi, zwłaszcza od czasu historyi z Vogtem, która go nieco dotknęła. Nie gniewał się na sędzię, ale żałował go.

O ucieczce córki dowiedziawszy się, Buchowiecki, wyjechał zaraz do Warszawy, bawił tam dosyć długo, a gdy był zmuszony w Brześciu zjechać się na moście na Bugu, zetknął się z księdzem ex-definitorem.

Zobaczywszy go, kazał stanąć. Niewiele miał czasu, chciał jednak coś się o Czernyńskich dowiedzieć.

— Cóż to ojciec nie w Łopatyczach?—zapytał.

— Nie—odpoczywam—rzekł Dominikanin—sędzina trochę chora, a sędzia do Wilna po córkę pojechał.

— Jak to po córkę?—a gdzież ona?

— To pan nie wie!

— O bożym świecie!

— Wyszła za męża za Hojskiego.

— Co mówisz!—za jakiego!—zlituj się.

— Za młodego Hojskiego z Sierhina.

— Możeż to być!

— Ale tak jest—Czernyński przebaczył i pojechał po nich.

— A! to cud! tak mi Boże dopomóż! To cud!

(Dalszy ciąg nastąpi).

PYTANIE.

Czy dobrze wspomnisz mnie? w zadumie przeszłość badam,

Odkąd ma rozejść się ta krótka wspólna droga,
Serce ze wszystkich drgnień, głowę z myśli spo-

wiadam,

Czyny i kroki me wołam jak na sąd Boga.
Widzę (zapóźno) błąd—czuję, żem słaby Adam,

Ale o jedno mnie nie bierze żadna trwoga:

Zapomnisz może wnet, skoro zła chęć przemogła,
Lecz jeśli wspomnisz już, to źle—czyż będziesz

mogła?

A dobrze—wspomnisz mnie? pytam — o nie nie

proszę...

Nie wszystkim wdzięczny los uśmiecha się wesoło,
Lecz winien każdy człek o jedne dbać rozkosze,

By czystem imię swe we wspomnień wpisał

koło.

O to chodziło mi, i oto ztąd unoszę
Spokojny oczu wzrok i podniesione czoło.

Zapomnieć możesz mnie — skoro zła chęć prze-

mogła,

Lecz jeśli wspomnisz już, to źle czyż będziesz

mogła?

Czy dobrze wspomnisz mnie? To jedna serca

troska;

Jak tego, co ma iść w podróż już niepowrotną,
Nie przyszłe trapią dnie — rzekł sobie: wola Boska!

Lecz przeszłość, by z niej wziął, co wartość ma

istotną,

Tak chciałbym krzyżyk mieć na drogę mą sa-

motną.

Zapomnieć mnie! ah! chciej, skoro zła chęć prze-

mogła.

Lecz wspomnieć źle — o mów! o mów! czy bę-

dziesz mogła?

St. z Op.

NOWINY PARYZKIE.

Paryż 2 Czerwca 1878 r.

Wystawa w miesiąc po otwarciu. — Pogląd i przegląd ogólny. — *Plasim lotem*, jak mówią Francuzi. — Trocadero i Pole Marsowe. — Jakie jest ogólne wrażenie wystawy. — Kto przoduje i dla czego? — *Aleja Narodów*. — Szczęśliwy i nauczający pomysł. — Sztuki piękne na Wystawie.

Chociaż nie wszystkie kąty w porządku, chociaż tu i ówdzie braknie nam czegoś jeszcze, wszakże Wystawa Powszechna Paryzka, otwarta od miesią-

ca coraz-to wzrasta w sławę, coraz-to staje się ważniejszą i pomimo wątpliwości początkowych dopełnia swego zadania należycie i pięknie. Wobec tak ważnego pod każdym względem wypadku niepodobna jest, aby wasz korrespondent pozostał na stronie i udawał, że nie widzi co się dzieje na Trocadero lub na Polu Marsowem. Tą więc razą zostawmy literaturę w pokoju — *Cedant arma togae* — i pogadajmy chwileczkę o Wystawie.

Wiecie już, że otwarcie Wystawy, publiczne, urzędowe, solenne, odbyło się d. 1 Maja z akompaniamentem, poza-programowym, grzmotów, piorunów, gradu, deszczu i innych podobnych dodatków, które jego są. Wszakże, jakby uśmiech wśród płaczu, słońce wychyliło się zza chmur; chodziło mu widocznie o starą sławę pierwszego luminarza na świecie. Wyszło więc z obłoków i dodało promieni swych do tej ceremonii paryzkiej.

Wyglądało to wszystko trochę dziwnie, trochę chaotycznie, bo widocznie otwarte przed czasem, ale przecież wyglądało zaraz jakoś wspaniale, przynajmniej nazewnątrz, jak każda rzecz wielka i ważna. Wystawa tegoroczna, jakgdyby dla utrzymania należnego stopniowania takiego przedsięwzięcia, jakim są *Wystawy Powszechne*, przekroczyła granice Wystawy 1867 roku i na dwóch usiadła wybrzeżach Sekwany, coś jakby w Warszawie i na Pradze. Pole Marsowe ze swemi wybrzeżami przeznaczone zostało na miejsce wystawy przemysłowej, a wzgórze Trocadero, położone na przeciw, na prawym brzegu Sekwany, oddane zostały na pałac, na miejsce festynów, kongresów i wszelkich podobnych zgromadzeń publicznych, a razem i na wystawę historyczno-etnograficzną. Całość ta gmachów, dziś już w ogólnym swym obrybie ukończona, przedstawia się malowniczo-pięknie. a nawet, powiedzmy prawdę, iście wspaniale. Ławo będzie to zrozumieć, kiedy dodamy, że gmachy te i rozmaite ich dodatki: ogrody, sadzawki i t. d. zajmują ogromną przestrzeń po obu stronach Sekwany, wynoszącą blisko 300,000 metrów kwadratowych.

Widok więc jest wspaniały i piękny szczególnie, chociaż to się, niestety, zbyt rzadko wydarza, kiedy słońce zaświeci na pogodnym niebie. Francuzi, którzy od wieków okazywali zdolności do rysowania i urządzania ogrodów, dali tu dowód nowy, że nie zapomnieli tradycji starego Lenotre'a i jego kolegów. Ogrody i parki, któremi, jakby najwspanialszą szatą, odziano zewsząd gmachy wystawy, nadają niesłychany wdzięk wszystkiemu, a płynąca w środku Sekwana jeszcze ten urok powiększa i podnosi. Słowem, jakiegokolwiek mogą być usterki i wady, albo pałacu Trocadero, albo samego gmachu wystawy na Polu Marsowem, wszystko to tonie i rozplywa się w tym blasku zieleni i kwiatów najrzadszych, których niezmierny nawał uderza i zachwycia zarazem. Ogół więc, rzut oka — pierwsze wrażenie — jest, jak mówiłem, wspaniałe i piękne, szczególnie wtedy kiedy się patrzy z wysokości galerii Trocaderskiego pałacu.

Pałac ten — dotąd jeszcze nieskończony, i wystawa historyczno-etnograficzna otwartą w nim zostanie chyba dopiero za dni kilka. Zstąpmy więc z jego ogromnych, w podkowę zagiętych wschodów i, przechodząc obok mizernej a całkowicie chybionej kaskady i ogromnych złożonych posągów olbrzymich zwierząt i allegorycznych figur — wejdźmy do pięknego, ku Sekwanie zniżającego się parku i rzućmy okiem na te pałace, pałacyki, domy i domki rozsiane wśród jego bujnej zieleni.

Mimoходом wejdźmy do olbrzymiego aquarium, które się kryje w głębi całego prawie wzgórze i w którego kryształowych ścianach, jakby w zacharowanym pałacu Ondiny, zaczawszy od drobniutkiej, małej płoteczki aż do olbrzymiego jesiotra, widzi człowiek wolne i zupełnie własnym oddane instynktom w morskiej, umyślnie sprowadzonej, wodzie pływające, całe królestwo Neptuna... Urządzona z wielkim kosztem, jestto dla specjalistów niezmiernie ucząca i interesująca część Wystawy. Tam na lewo, wyszedłszy z akwaryum biały i schludny algierski pałac wabi nas ku sobie. Dla tych, którzy nie podróżowali po Wschodzie, może być ciekawą rzeczą zwiędzić to wnętrze mieszkania możnego Araba, gdzie uczucie porządku i ochędostwa Europejskiego zmiotło wszelki ślad lokalnej barwy. Ale niewiele to może nauczyć

i zostaje pytanie: czy warto było ponosić tyle kosztów dla zamknięcia w tych upiększonych aż do zbytku murach tak mało ważnej pod każdym względem wystawy, jaką jest wystawa kolonii algierskiej? Jedna rzecz tylko może zatrzymać ciekawego wędrowca: jestto ogromny krąg cedrowy, płyta odpilowana i odpolitowana, z kłody cedrowej, na której 750 oznaczonych słoików dowodzą, że patriarcha, z którego odcięto tę płytę, miał 750 lat życia! Piękny wiek — a smutny koniec... zabawiać ciekawość gawiedzi!

Ciekawszym nierównie jest pawilon Japoński. Dziwny to jest naród, tak odróżniający się we wszystkim — w religii, obyczajach, charakterze — od swych współbraci ostatecznego Wschodu. Japończycy są nieporównani we wszystkich rękodzielniczych wyrobach. A codo jedwabów, papieru, broni ręcznej, mebli pokrytych sławną ich laką, to jest nienasładowanym pokostem *sui generis*, daleko zostawili oni za sobą całą naszą cywilizację i przemysł zachodni. Pawilon ten jest to pieśiędko. Wszystkemu tam oddycha taką symetrią, takim wdziękiem i taką czystością, o jakiej nam ani się śniło nawet; prawda, że wszystko tu jest również niesłychanie drogie.

Mniej zajmującym jest pawilon wystawy Chińskiej — chociaż zbudowany z gotowych, przywiezionych z Chin materyałów, pawilon ten nie zaleca się ani wykwintnością smaku, ani delikatnością zarzysów i wykończenia. Jestto prosta robota cieleska z pod topora, jak to powiadają u nas, a jaskrawe upstrzenie i dziwaczne formy nie przyczyniają jej ani wdzięku, ani artystycznej wartości. Wnętrze tego pawilonu, złożone z dwóch pokoi, umebłowanych w guście zupełnie chińskim, niedostępne jest dla publiczności i służy za pewien rodzaj przybytku dla Mandaryna, który jest kommissarzem generalnym chińskim na paryzkiej wystawie. Pokoje i korytarze, galerye i poddasza, otaczające to *sanctum sanctorum*, zapełnione są wyrobami chińskiego przemysłu, z pozoru przynajmniej nie różniącemi się wcale od tych towarów, które tu widzimy od dawienadawna w Paryżu nietylko w kilku specjalnych, przez Chińczyków trzymanych, magazynach, ale i w wielu sklepach francuzkich. Nie budzi więc to ani ciekawości, ani zdziwienia; jeśli forma uderza niezwykłością swojego kształtu, to należy dodać, że tej dziwnej formie brak uczucia smaku, którym jest napiętnowany każdy wyrób japoński.

Niezatrzymując się wcale ani w Perskich, ani w Tunetańskich pawilonach, które wyglądają raczej na proste bazy, jakich jest pełno, nietylko w samym Paryżu, ale w każdym prawie portowym mieście Śródziemnego morza, przejdźmy most Jena, wzniesiony niegdyś, niestety, na pamiątkę sławnego zwycięstwa pod Jeną w 1806 r. i udamy się do parku Pola Marsowego i do pałacu wystawy przemysłowej. Z ogromnego przedsiönka, który zajmuje całą przednią szerokość wielkiego czworoboku wystawy i gdzie codziennie niezliczone tłumy oglądają ciekawie wystawę drogocennych podarków, złożonych w Indyach przez największych Radzów, — jak ich zwykli nazywać Europejczycy, księciu Walijskiemu w czasie jego ostatniej podróży do wielkich posiadłości angielskich na Wschodzie. Bogactwa te są niezliczone prawie, niezmierne. Są tam szczerozłote nie szkatułki, ale prawdziwie kufry, brylanty tak wielkie jak ziarenka fasoli lub bobu, świecą rozsiane jak gwiazdy, zbroje przepyszne, szable i kindżały, nasadzone kamieniami, siodła i uzdy kapiące złotem i karbunkułami, szale, które, jakby chustkę do nosa, można schować w kieszeń, drogie kaftany, których nie nosi zapewne Jego Książęca Mość — słowem, ogromne, niezliczone, ale też i nieużyteczne, bogactwa, którym zbywa nadto na artystycznym uczuciu sztuki dla nas, Europejczyków, nadającym jedyną prawdziwą wartość. Oprócz bowiem samych tylko inkrustacyj złotych i srebrnych, niezmiernej delikatności i zadziwiającej pięknością formy arabskich — na hełmach, zbrojach i broni, reszta wyrobów jubilerskich nie ma nic w sobie, coby mogło iść w porównanie ze złotniczymi wyrobami Francji lub Anglii. Jestto prawie stare dzieciństwo przedwiecznej sztuki, gdzie filigran i jego modyfikacje główną odgrywają rolę. Nawał więc złota zadziwia tylko nieużytecznością swoją, formą wy-

robów zostawia nas bez żadnego wzruszenia. Oprócz zatem wspaniałych prawdziwie nasieczek i doskonałej, pięknej i rzadkiej już dzisiaj, broni ręcznej, jakoto: szabli, jataganów i t. d. niema na tej wystawie nic zgoła, coby mogło usprawiedliwić niewyczerpaną i nieustającą ciekawość tłoczącą się ku niej publiczności. Ale dosyć, aby raz dane hasło o indyjskich bogactwach doszło do wiadomości ciekawych, a można być pewnym, że jak stado baranów jeden za drugim na oglądanie ich podąży.

Francuzi, zręczni codo wynalazków i codo wykonania wynalezionej rzeczy, zręczniejsi są jeszcze, w wynajdywaniu nazwisk i przezwisk wszystkiemu. Ze czterech głównych galeryj wystawy dwa skrzydła na prawo od wejścia oddane zostały wystawie obcych narodów, a na lewo pierwsze skrzydło poświęcone jest sztukom pięknym, ostatnie zaś wystawie przemysłowej francuskiej. Wystawy odrębne każdego państwa, które przyjęło udział na Wystawie Paryskiej, mieszczą się w poprzecznych sekcjach, na jakie podzieloną została cała długość dwóch wielkich galeryj, wyżej wspomnianych.

Anglia najpierwsza miała myśl szczęśliwą otworzyć drugie wejście na swoją wystawę od strony poprzecznej, to jest od strony jakby ulicy czy bulwaru, który dzieli gmach cały na dwie równe części przez całą jego długość. Do tej pierwszej myśli dorzuceno zaraz szczęśliwszy jeszcze pomysł, aby zbudować dom czy pałacyk w stylu architektury krajowej; jego fasada służy zarazem za osobne wejście, urządzenie zaś wewnętrzne przypomina wnętrze angielskich zamożnych mieszkań. Jestto więc jakby model mieszkania, z meblami, urządzeniem i wszystkim, co służy do życia i bytu mieszkańców.

Ten przykład naśladowały wszystkie inne narody, tak, że wchodząc z głównego przedsionka Wystawy na tę wewnętrzną ulicę człowiek ciekawy obcych zwyczajów może zaspokoić swe chęci i mieć pewne, chociaż trochę ubarwione wyobrażenie jak żyją ludzie, ale ludzie możni, po świecie. Dla tej-to wielkiej ulicy Francuzi znaleźli zaraz sumne nazwisko: „Allée des Nations“, jakby *Droga* czy *Aleja narodów!* Jak mówiłem, daje to słabe, dalekie wyobrażenie o wyłącznej architekturze każdego narodu: najprzód dlatego, że w tym czasie kosmopolityzmu—wyłączną, odrębną architekturę trudno jest znaleźć, chyba w chałupach i lepiankach wieśniaczych, a następnie, że dokładne i ściśle naśladowanie w tym względzie nie sprawiłoby może pożądanego efektu. — Pierwsza więc zaraz Anglia zamiast stawiać domy, jakie widzimy naprzykład przy ulicach w Londynie i innych miastach, wystawiła dwa czy trzy pomieszkania, naśladowujące styl, ozdoby i rozporządzenia starych domów, których wzory zachowały się jeszcze tu i ówdzie z XVI i XVII wieku. Inne narody rozumiały to inaczej i postawione w tym celu budowy naśladowują w zmniejszonych rozmiarach znakomite starożytnością lub historycznym podaniem gmachy miejscowe. Pomiędzy temi, które się najszczęśliwiej udały, należy pomieścić fasady: włoską, hollenderską, portugalską, japońską, austriacką i t. d. Mniej wdzięcznie wyglądają w ogólności naśladowania pospolitych mieszkań i zbyt lokalne odwzorowania miejscowych ozdób, jak się to naprzykład pokazuje na rosyjskiej fasadzie—jakkolbądź jest to myśl szczęśliwa: dotknięta zlekka i jakby luźnie w 1867 roku, zaaplikowana dziś na szerszą skalę, może ona w przyszłości oddać niemałą przysługę architektom, którzy porównyując usposobienia, smak, potrzeby i przyzwyczajenia rozmaitych narodów, potrafią wyciągnąć ztąd naukę i przykład w ulepszeniu tego, co jest główną zasadą wygody życia, to jest mieszkania—i tego, co ulepszeniem być może, lub co ulepszenia wymaga. Zdaje się jednak, że ten cel wtenczas dopiero osiągnięty zostanie, kiedy, kładąc na stronę wszystko, cokolwiek służy jedynie dla przyjemności wzroku, powszechny ten zastęp budowniczych zajmie się więcej prawdziwie *pożyteczną stroną* budowy mieszkań i zstąpi do rzeczywistości bez dodatków, rzeczywistości takiej, jaka sama jedna tylko powinna służyć za modłę.

(Dokończenie nastąpi).

KŁOPOT DZIADUNIA

OBRAZEK W JEDNEJ ODSŁONIE

przez

Ludwikę S. (z Kujaw).

(Dokończenie)

Scena IV.

Potulnicki, Władysław (później) Zosia.

Potulnicki (słyszcząc otwierające się drzwi)

A przecież jesteś, latawce. Oóż, podlałaś kwiatki? (sposstrzegając Władysława). A i ty tutaj, Władysławie....

Władysław

Przybyłem właśnie i dowiaduję się, że nasze panie wyjechały; a gdzie—jeżeli wolno spytać?

Potulnicki

Matka tylko pojechała (na stronie). Bogu dzięki nie widzieli się (głośno). Pojechała do Lipek, siostra jej zachorowała.

Władysław (z przerażeniem)

Wujenka, cóż to takiego? Gdybym był wiedział, byłbym pośpieszył....

Potulnicki (zażywając tabakę)

Powiedz mi, mój kochany, jakie tam między wami kuzynowstwo?

Władysław

Nieboszczyk wuj był rodzonym bratem mojej matki, bardzo się kochali. Nawet wujaszek do chrztu mnie podawał.

Potulnicki

Więc ty jesteś dla chorej siostrzeńcem przez męża. Rozumiem już, rozumiem: jesteś synem siostry... rozumiem, rozumiem....

Zosia (wbiega z polewaczką w rękę, niewidząc Władysława)

Dziaduniu kochany (sposstrzega Władysława, przerywa rozmowę i rumieni się)

Władysław (zbliża się do niej i rękę wyciąga)

Dzień dobry panno Zofio, już kilka dni jak nie miałem przyjemności widzieć pani.

Zosia (zakłopotana)

Była niepogoda a raczej pan miałeś zapewne zajęcie. Ja właśnie kwiatki przesadzałam.

Władysław

Lecz pani mi nie daje rączki; przecież przywitać się musimy (ścisła ją za rękę).

Potulnicki

Zdaje się, żeś wpadła z jakąś nowiną.

Zosia

Ah, prawda. Wyobraź sobie, kochany dziaduniu, że ta róża, co została przez mamę skazaną na uschnięcie, pączków dostała. Aż trzy od razu.

Potulnicki (śmiejąc się)

Wielka radość.

Zosia

Naturalnie, że dla mnie to wielka radość (idzie do okna, ogląda kwiatki).

Potulnicki (na stronie)

Dobrze, że ich tu mam oboje. Mogę sobie niby spokojnie czytać, a słuchać pół uchem (zabiera się do czytania).

Zosia (przy kwiatkach)

Biedne! jakie suche (podlewa). Moje pieśczołki, poumierająbyście, gdybym was nie pielegnowała. Panie Władysławie, lubi pan kwiaty?

Władysław (zbliżając się do niej)

Bardzo, szczególnie żywe.

Zosia (zawsze przy kwiatkach)

Przecież wszystkie żywe.

Władysław

Tak, ale są inne jeszcze kwiaty, które mają duszę, serce.... Patrzą, mówią, czują.

Zosia (śmiejąc się)

To jakieś zagraniczne kwiaty i nie znam ich. Może te kwiaty i śpiewają w dodatku?

Władysław

Czasem, gdy bywają wesoło, a wtedy bije od nich taki blask, taki urok, że kolana zginają się mimowoli, roce wyciągają się błagalnie....

Zosia (rumieniąc się, przedko przechodzi do drugiego okna, tam ogląda kwiaty)

A wam czy też brak czego?

(Potulnicki usypia).

Władysław

Gdybyś pani mnie zadała to pytanie, tobym odpowiedział, że mój brak wielki, o wielki jest bardzo.

Zosia (figlarnie)

Pan może spragniony wody, jak kwiaty, a może chciałbyś czegoś pożywniejszego? Może pan bez śniadania?

Władysław

Panno Zofio, czemu pani żartuje?

Zosia (markotnie)

Pan nie lubi się pośmiać....

Władysław

Czy ja nie lubię uśmiechu na ustach pani!... Ale ja się śmiać nie mogę, bo nie jestem szczęśliwy, nie jestem spokojny.... Panno Zofio.

Zosia (nieśmiało)

Pan nie jest szczęśliwy.... pan niespokojny....

Władysław

Tak, panno Zofio, nie śmiem sobie roić nadziei, która mi jest potrzebną do szczęścia, nie śmiem marzyć, nie jestem pewny....

Zosia (cicho)

Czego? (nagle cofa się znów do okna). Ah! zapomniałam, że te jeszcze nie podlane. I byłyby tak zostały suche, zaniedbane....

Władysław

Użał się tak pani ludzkiego serca, jak załujesz kwiatu. Ludzkie serce, od którego się odwracają, usycha boleśniej niż kwiat. O ciężka, ciężka to rzecz, kiedy serce tak w kim zamiera, z braku litości, współczucia...

Zosia (zakłopotana)

Czy i męzkie serce?

Władysław

O tak.... i męzkie serce.... Męzkie serce jest z natury twardsze, surowsze, ale kiedy raz pokocha, a prawdziwie, szczerze, gorąco, kiedy się da zwyciężyć uczuciu, kiedy pozwoli temu uczuciu zapanować już nad sobą, o! wtedy to serce cierpi bardzo, jeżeli nie śmie liczyć na przyszłość.... jeżeli jej pewnym nie jest....

Zosia (zamysłona)

Myslałam, że to tak jest tylko z kobiecemi sercami. Powiadają, że kobiety są słabe,—ja tego nie wiem; ale kobiece serca bardzo cierpią, kiedy....

Władysław

Kiedy co?...

Zosia

Kiedy się boją o szczęście swoje, kiedy je trapi taka, jak pan opisywał niepewność. O bardzo są wtedy biedne te serca.

Władysław (żywo)

A czy kobieta potrzebuje przechodzić te tortury, te męczarnie? Kobieta to królowa, to bogini, kiedy skinię, do nóg jej padają, gdy wzrok podniesie, to ludziom słońce wschodzi. O panno Zofio!

Zosia (smutnie)

Czasem kobieta w kąciku płacze.

Władysław (coraz żywiej)

Po co ma płakać? Ona dać może szczęście.

Zosia

Czasem jej nie wolno.... Nie wolno nawet myśleć o szczęściu.

Władysław (porywając ją za rękę)

Oh! niech tylko kocha.... Panno Zofio.... O mój Boże, pani już to wiesz.... ja tak kocham, tak kocham cię, jak moją gwiazdę, mojego anioła....

Zosia (zaczynając płakać)

Nie mów pan.

Władysław

Już muszę teraz mówić, już milczeć nie mogę, lecz mów i ty.... powiedz słówko.... O ty najdroższa, jedyna, ty czarowna moja....

Zosia

Panie Władysławie, ja nie powinnam....

Władysław

Powinnaś, bo gdy nie przemówisz, gdy nie od ciebie nie usłyszę, to będę nieszczęśliwy.... Tak! będę cierpiał jak kwiat bez wody, serce moje będzie konać i usychać....

Zosia

O nie tak panie Władysławie.... tak się odzywać nie godzi. Ja—ja też.... ja kocham....

Władysław

Mnie? mnie szaleńca! waryata! I mówisz, że nam o szczęściu myśleć nie wolno, a czy my nie szczęśliwi! Ja szczęśliwy...! ja mam za dużo szczęścia w piersiach....

Zosia (ocierając łzę)

Mama nie pozwoli, aby szczęście nasze było trwałe.... Pan też—dzierzawca tylko.... Mama myśli o pana kuzynie, o synu p. Marszałka.

Władysław (wciąż uniesiony)

Co to znaczy! Ja myślę o tobie, ja to wiem, że ty kochasz, słyszałem, gdyś to mówiła. O powtórz....

Zosia (z żalem)

Cóż z tego, że powtórzę, co z tego że to w sercu nosić będę? Mama nas rozłączy. Ah! udajmy się chyba pod opiekę dziadunia (obraca się). Usnął, biedny, kochany dziadzio.... On wie co to kochać, jest w duszy za nami; on czuje, że to bardzo ciężko sercu, kiedy mu gwałt zadają.

Potulnicki (przebudziwszy się—spogląda do koła)

Zdawało mi się, że zasnął, ale nie; ona tam koło kwiatków się krząta. Tak tylko zaemiło mi się w oczach od czytania. Przynajmniej ciągle są pod moim okiem. Jadwisia gniewać się nie będzie.

Władysław (spozstrzegłszy, że Potulnicki się obudził)

Obudził się, chodźmy (zbliżają się do Potulnickiego). Dziaduniu najdroższy, pobłogosław nam najpierw, jako najstarszy.

Potulnicki (przecierając oczy)

Co? czego? po co? co błogosławić?

Władysław

Pobłogosław dziaduniu naszej miłości.

Potulnicki

Co? kto wam powiedział, że wolno wam się kochać?

Władysław

Dziaduniu kochany, to już Bóg tak sprawił. Serca się porozumiały....

Potulnicki

Jak? Kiedy? Pleciesz acan od rzeczy.

Władysław

Wyznałem moją miłość, usłyszałem słodkie słowo wzajemności.

Potulnicki

Co, co znowu! Co mi tu gadasz....

Zosia (skromnie)

Tak najdroższy dziaduniu (całując go w kolana), ja.... ja kocham p. Władysława, więc pobłogosław nam.

Potulnicki (biorąc się za głowę)

Jezusie, Maryo, Józefie Ś ty, poszaleli ci ludzie! (do Zosi). Tyś podlewała kwiatki.

Zosia

Tak dziaduniu!

Potulnicki (z gniewem)

I one ci to powiedziały!...! Co? róża powiedziała?

Zosia

Nie dziaduniu, on.... p. Władysław....

Potulnicki

A co matka na to?

Zosia i Władysław

To też więc nas weź dziaduniu pod opiekę swoją, wstaw się za nami....

Potulnicki

Ja! ja! Ja was właśnie pilnować miałem, ja was pilnowałem właśnie. Zosia może poświadczyć, że jej się ztąd ruszyć nie dał....

Zosia

Zlituj się, dziaduniu....

Potulnicki

Nie, nie zlituję się wcale. Asindzka wiesz, że matka nie pozwoli. Władysław hołysz, dzierzawkę tam ma jakąś.... Matka ani będzie chciała słuchać.

Władysław

Będę pracował od świtu do nocey...

Potulnicki

Moja córka nie chce od zięcia pracy, moja córka chce żeby był pan.

Zosiu (Zadąsana)

A ja nie chcę pana. Pójdę do klasztoru, a pana nie wezmę.... Jam sama dziewczyna uboga—ja nie mam....

Władysław

Dorobimy się, jesteśmy młodzi, zdrowi, miłość darzy siłą, miłość daje szczęście, przy którym zbytek przestaje być potrzebny.

Potulnicki

Ach moje dzieci, nie myślcie nawet o tem, matka nie da się uprosić (do Władysława). Nic nie będę mówił i tobie radzę nie odzywać się wcale. Nic nie wskórasz, a do tego matka na zawsze wzbroni ci wstępu do swego domu (do siebie). Ah, ja nieszczęśliwy!

Zosia (z płaczem na stronie)

Pójdę do klasztoru! Ah! pójdę do klasztoru.

Władysław (do Potulnickiego)

Nie, kochasz i jesteś wzajemnie kochaną, nie nas nie dzieli, tylko ta wola matki, które nie może być tak okrutną dla swego dziecka. My musimy należeć do siebie.

(Słychać turkot powozu).

Potulnicki (z pośpiechem)

Władysławie, Władysławie, bój się Boga, usuń się ztąd, choć na impet pierwszy (Władysław wychodzi bocznymi drzwiami, Zosia idzie naprzeciw matki). Na co mnie ten kłopot, ta opieka? Podlewała kwiatki, a ja nie a nie nie spałem... Mogę przysiądz.... Zaćmiły się oczy, ale zaraz przetarłem i patrzę: stoi gdzie stała, w temsamem miejscu....

Scena ostatnia.

Rembalska—Zosia—Potulnicki.

Rembalska (wpada i rzuca się na najbliższe krzesło)

Nieszczęście! nieszczęście!

Zosia (z przerażeniem)

Co, czy ciocia umarła?

Rembalska

Ah, gorzej, gorzej jeszcze. Wszystko zapisała Władysławowi.

Potulnicki (na stronie)

Chwałaż Tobie Panie.

Zosia

Dziaduniu! Mamo! jaka ja szczęśliwa!...

Rembalska

Jakto? jesteś szczęśliwa? To się tobie należało

Zosia (padając matce do nóg)

Mamo najdroższa, ja kocham Władysława.

Rembalska (patrząc ze zdziwieniem)

Co? (wzrusza ramionami). Widać każda musi przechodzić tę chorobę.

KONIEC.

WIADOMOŚCI

Literackie, artystyczne i naukowe.

— Słownik Akademii Francuskiej wyszedł w nowym siódmym z rzędu wydaniu; najpierwsze było jeszcze w roku 1694, ostatnie przed najnowszym — w r. 1835. Najnowsze to wydanie znacznie wzbogaceniem i ulepszeniem zostało: znajduje się w niem 2,200 wyrazów więcej niż w poprzedzającym; około 300 wyrazów zupełnie usunięto. Słownik jest pracą wielkiej wartości i znajdować się powinien w każdej wielkiej bibliotece, zwłaszcza w przeznaczony na użytek publiczny.

— Dnia 7 Maja zmarł w Warszawie Antoni Barciński 80-letni starzec, niegdyś, przed rokiem jeszcze 1830 i później, pedagog zacny. Był on autorem *Buchhalterji* i bardzo na swoje czasy dobrej i wziętej *Arytmetyki*. Przez lat kilkanaście zarządzał sprawami żeglugi parowej na Wiśle hr. Andrzeja Zamojskiego. Ś. p. Barciński był mężem Izabelli z Szopenów, siostry wielkiego naszego muzyka, żyjącej jeszcze, czcigodnej matrony. Urodził się w Lublinie w r. 1803.

— Rozeszła się po dziennikach polskich wiadomość o śmierci *Wład. Tarnowskiego*, w San-Francisco, podczas podróży naokoło świata, nastąpionej. Ponieważ jej od miesiąca stanowczo nie zaprzeczono, za wiarogodną ją więc uważać trzeba. *Wł. Tarnowski*, natura poetyczna a zdolna, był poetą, muzykiem, pisarzem, lubownikiem i znawcą sztuk pięknych. W poezji jako liryk pisał w bardzo wczesnej młodości utwory drobniejsze, wrażliwe,

których słabą formę duch szlachetny nawskroś przejmuję — znajdują się one w 3-tomowych *Poezjach Studenta*. Pod pseudonymem *Ernesta Bulawy* wydawał utwory szeroko zakreślone, obszerne, szczerze uczuciowe i jak ogromna jego *Joanna Grey* (1874 z uwerturą, prozą), nie pozbawione w pojedynczych scenach wzniosłej dramatyczności. Studya estetyczne Tarnowskiego dowodzą zamiłowania, filozoficznego wykształcenia i względnie do młodego jeszcze wieku, rzeczywistego znawstwa. Nieboszczyk wiele podróżował, wiele widział i pamiętał, i w malarstwie dawniejszym rozmiłowany, trafiał, zwłaszcza o duchowej jego stronie, wydawał sądy. W muzyce, w której wystąpił jako kompozytor orkiestrowy symfoniczny rokowano mu wielką przyszłość — tę przyszłość miał on przed sobą i jako człowiek i jako talent, i skon jego jest stratą prawdziwie dotkliwą nie tylko dla pobliskich, ale i dla powszechności ludzi umysłowo żyjących. S. p. Władysław Tarnowski urodził się w r. 1841. Życiorys jego z bezpośrednio zaczerpniętych wskazówek podał jeszcze za życia nieboszczyka J. I. Kraszewski w *Kłosach* z r. 1877 (N. 630). Tamże znajduje się portret zdolnego poety-muzyka.

— Dnia 3 Czerwca r. b. zmarł w Warszawie po długich cierpieniach *Fr. Max. Sobieszczański*, pisarz historyczny, który z powodzeniem prowadził poszukiwania po archiwach i bibliotekach, a do *Historji Warszawy* bardzo cenne pozbiierał, i w części ogłosił, materyały, ułożone już nawet w kilkatomowe dzieło będące w rękopiśmie. Bardzo zajmujące jego szkice Starej i Nowej Warszawy, oraz niejedności do nich należących, drukował *K. War.* w zeszytach i w tym jeszcze roku. Prowadził niegdyś Sobieszczański znaczną część działu literatury i sztuki polskiej oraz opisów miast w *Enc. Wielkiej Orgelbranda* i wiele tam wydrukował artykułów, w których wszakże obok rzeczy dokładnych i nowych znajdują się niezgodne z prawdą i niewytrzymujące krytyki naukowej. Jego *Wiadomości o sztukach pięknych w Polsce*, w dwóch tomach, nakładem Orgelbranda w r. 1847 i 1850 wydane, wyprzedziły *Słownik Rastawieckiego* i *Ikonotekę* Kraszewskiego i należą do najwcześniejszych z tej dziedziny życia przeszłości; jako wskazówki do poszukiwań dla badaczy szczegóły tu podane nie są bez wartości. W *Dalszym ciągu kroniki Joachima Bielskiego*, od roku 1587—1598 dał Sobieszczański rzecz przedtem nieznaną. — Był to poszukiwacz i zbieracz bardzo pracowity; ale prawdziwie krytycznym i umiejętnym opracowaniem nie odznaczały się ani wyniki jego badań ani też owoce prac czysto-literackich. Obok tego jednak posiadał zmarły niezwykłą wiedzę, a w części i znawstwo rzeczywiste — i wspierał je doskonałą pamięcią. Dodać tu jeszcze wypada, że ostatnia część II tomu *Hist. Lit. Pol.* Rogalskiego, w której zebrane są poraz pierwszy w takiej pełni wiadomości o pisarzach najnowszych wyszła spod pióra Sobieszczańskiego. Na polu czasopiśmiennictwa przed trzydziestu kilku laty był zmarły redaktorem *Kmiotka*, i kierownictwem swoim sprawił, że wydawca musiał piśmo to, bardzo popularne, zamknąć. Za rządów margrab. Wielopolskiego redagował *S. Dziennik powszechny*, a przez czas długi, prawie do samej śmierci, należał do redakcyi *Tygodn. ilustrowanego*. Po innych pismach wiele, zwłaszcza z dziedziny przeszłości, ogłaszał prac pomniejszych. Dzieło mające za przedmiot Historję Warszawy, o ile ogłoszonych wyjątków wnieść można, zasługuje na to, aby je wydać na użytek publiczny; ma być ono już zupełnie do druku przygotowanym⁽¹⁾. Sobieszczański urodził się w r. 1814 w Bychawie.

— Prowadzone od lat 4 przez zasłużoną firmę Józefa Zawadzkiego w Wilnie, nakładem jej i drukarni, wydawnictwo *Rysu dziejów literatury polskiej* podług notat A. Zdanowicza, oraz innych źródeł, opracowanego przez *Leonarda Sowińskiego*, przed paru tygodniami ukończonem zostało. Tom V i ostatni (str. 267 i 269—338 spisu) znajduje się już w rękach prenumeratorów. Zawiera on filozofię, estetykę, teorię literatury, pedagogikę, wymowę, politykę, nauki społeczne, językoznawstwo, nauki

ściśle i przyrodnicze, medycynę, gospodarstwo, wojskowość, czasopisma, encyklopedye. Po literaturze Wiszniewskiego jest to dzieło najobszerniejsze, jakie w danej dziedzinie posiada piśmiennictwo nasze. Na okładce ostatniej strony objaśnia wydawca, że obejmuje ono 3,345 stronic ścisłego druku; myślny się doliczyli właściwego tekstu dzieła bez tytułów i spisów tylko str. 3,156, ze spisami—3,227. Do tomu V, sięgającego aż po ostatnie czasy, dołączone są trzy spisy: Pisarzy, Dzieł i czasopism oraz Rzeczy w koleji wykładu po sobie następujących. Przez dodanie tego ostatniego spisu zmniejszono nieco niedogodność wywołaną przez zbyt mało usystematyzowanego układu, przy którym pojedyncze działy niedostatecznie się wybijają pod uwagę czytelnika. Podczas trwania jeszcze wydawnictwa odzywały się surowe o dziele dziś już ukończonem sądy. Bronił się od nich autor w przedmowie do T. IV, starał się je zgóry odbić w przedmowie do T. I; ale choć skromnie wyraził o dziele swoim rozumienie i przypomniał, że miało ono być i jest kompilacją raczej niż samoistnem, krytycznem opracowaniem, zarzutów obalić w zupełności nie zdołał, bo też te zarzuty, w formie swej może szorstkie, w rzeczy samej prawie bez wyjątku sprawiedliwymi były. Głównem złem, według nas, jest to, że widocznie plan dzieła nie był jasno porządnie, rozumnie w samym początku ułożony, a materyały do dzieła należycie nagromadzone. Dowód tego pośredni mamy w zupełnem prawie zaniechaniu opracowania tak zwanej historji źródeł, ku czemu choćby tylko odpowiedni rozdział w I tomie Wiszniewskiego wybornie mógł posłużyć. Skutkiem powyższej okoliczności miejscami dostrzegając się dają próżnia (opuszczony jest naprzykład taki pisarz jak Andrzej Węgierski) niezgodność i niewymierność, ta ostatnia szczególnie przy poezji nowszej w stosunku do innych działów, a zwłaszcza do literatury ludowej i podaniowej. Godności autorskiej i powadze dzieła szkodzi wiele to, że przytoczenia sądów cudzych o wymienianych utworach i pismach nie są wyraźnie w druku wyróżnione, z czego powstał taki zamęt, iż wielokrotnie niewiadomo kto mówi: czy sam autor *Rysu dziejów*, czy też pisarz dawniejszy, na którego zdanie autor *Rysu dziejów* się powołuje?

W teorii więc ma swoje i to liczne wady i niedostatki nowy Rys literatury; ale w praktyce, odpowiednio kierowanej, może przynieść pewien pożytek. Zbliżony najbardziej do *Hist. literatury* Wójcickiego, daje on obszernie wyjątki, a sama nawet nie-samoistność wynagradza się w nim obficie przytaczaniem sądami innych, nieraz pierwszorzędných pisarzy, jak: Mickiewicz, Mochnecki, Grabowski i prócz innych Siemieński, Tyszyński, a w rozbiornie *P. Tadeusza* Załhej. Dzieł poezji najnowszej sam jeden tylko może w całym dziele opracowany samoistnie, daje obraz przez nikogo jeszcze przedtem niewykonywany. Autor, sam poeta, sądzi tu innych poetów niezawsze właściwie, naprzykład nie pojmuje talentu Elego; dla innych znowu zbyt jest hojnym w pochwałach: ale zbroczenia takie nie są liczne i przy odpowiedniem kierownictwie naprawione być mogą. Prawdziwie tylko niepojętem jest spuszczenie się na innych, poleganie oślep na rozmaitych zdaniach cudzych nawet przy ocenianiu najpierwszych poetów naszych tegoczesnych — i wobec wydarzającej się niezgodności między przytaczaniem sądami, bez dobrego przewodnika, w samym sobie lub w nauczycielu, z działu poezji tegoczesnej w epoce Mickiewiczowskiej korzystać nawet niepodobna.

Stosunkowo najużyteczniejszą i najpotrzebniejszą, bo zupełnie prawie nową — o ile z pracy Sobieszczańskiego w *Historji Rogalskiego* nie wyrosła, jest zawartość połowy tomu IV i całego tomu V. Zatrzymany tu jest i ustalony przed okiem cały ruch najnowszy piśmiennictwa naszego i pomienione części dzieła bądź do nauki istotnej, bądź do wskazówek w nauce roztropnemu czytelnikowi posłużyć mogą. Znajdujemy tu nazwiska i dzieła współczesne, które w żadnej innej książce dotąd jeszcze nie wystąpiły. Szkoła Krakowska-lwowska historyków najnowszych, szkoła filozofów pozytywistycznych, w dość wielkiej obfitości tu występują. Ale i tu owa niewymierność z braku planu wynikająca, szkodzi dobroci dzieła. Jakież naprzykład jest stosunek *Syntezy dwóch światów*

p. Struvego do *Fizjologii wszechświata* Supińskiego, a jaki stosunek odpowiednich wzmianek o jednym i o drugim dziele! *Syntezie* poświęcono stronic 7, 100 — 107: *Fizjologii* tylko jedną 181/182 — choć nam autor na str. 110 „obszerniej“ mówić o niej przyrzekł. Znajdują się i inne niewłaściwości.

W summie rzeczy nowo-wydana Literatura pomimo swej względnej użyteczności, którąśmy jaknajszczodrzej stwierdzić w niej usiłowali, pozostaje w tyle za znacznie mniejszą i zwężlejszą od niej *Historją literatury* Kulickowskiego, a cowiecej, nie wytrzymuje porównania z dziełem dawniejszem, i zbliżonem do niej przez swe rozmiary, mianowicie z *Hist. Liter.* Wójcickiego. Nowe to wydawnictwo podnieciło tylko nanowo pragnienie: abyśmy jaknajprędzej dzieła gruntownie a umiejętnie ułożonego doczekać się mogli.

— Następujący literaci i pisarze naukowci, według doniesień najwiarogodniejszych, otrzymali zaproszenia na kongres literacki międzynarodowy mający się odbyć w Paryżu podczas wystawy powszechnej: Faleński, K. Jarochoowski, Kenig, St. Koźmian, Kraszewski, Lubowski, Małecki, Mayer, prezes Akademii Umiejętności, Odyniec, Szymanowski i St. Tarnowski. Otwarcie kongresu zostało o cały tydzień opóźnionem i nastąpić miało dopiero d. 11 Czerwca. Zamierzono w dniu tym ukonstytuować kongres i rozdzielić pracę między pojedyncze kommisye. We dwa dni później prezes, Wiktor Hugo, ma zagać obrady mową uroczystą, po której rozpocznie się ogólne roztrząsanie zasad własności literackiej. D. 15 Czerwca zastanowi się kongres nad przedrukami, tłómaczeniami, przeróbkami i obmyśli środki bronienia własności literackiej, oraz zaproponuje dokładną formułę, która ma wejść do traktatów handlowych w miejsce dotychczasowej. Dnia 16 Czerwca autorowie zagraniczni równouprawnieni zostaną z krajowymi — *in thesi*. D. 18 Czerwca poświęcą zgromadzeni na roztrząsanie losu literatów w różnych krajach i obnyszenie instytucyj poprawę tego losu na celu mających; przyczem rozbraną zostanie materya stowarzyszeń literackich. Dnia 20 Czerwca kommisye zadają sprawę ze swych czynności, a kongres wybierze stałą kommisję międzynarodową. Dzień 22 Czerwca będzie ostatnim dniem zasiadania kongresu, który go poświęci na czynności czysto-formalne. O ile wiemy, z osób zaproszonych jedne nie przyjęły zawezwań, inne, przyjąwszy je, wrzuciły do kosza. Po dzień 10 b. m. z Warszawy jeden tylko pan *Wacław Szymanowski*, redaktor *Kuryera Warszawskiego* pojechał na kongres.

— Wydawana w Pradze przez Franciszka Zakrejsa *Narodni Biblioteka* mieści w dziale 52-m (in 16. str. I—XII i 560) noszącym już datę r. 1878 *Zbiór przekładów* ks. kanonika Wyszehradzkiego, *Wacława Sztulca* w Maju r. b. zamianowanego członkiem Akademii Umiejętności w Krakowie. Cały ten zbiór obejmuje same tylko *Utwory Mickiewicza*, mianowicie: *Grażynę*, *Konrada Wallenroda*, *18 Sonetów*, *7 Ballad* (Powrót Taty, Ucieczka, Trzej Budrysi, Czaty, Pani Twardowska, Renegat), *Dziady* (cała Cz. II i III pierwotnego podziału, a streszczenia cz. I i IV), oraz *Poezję niektóre pisane pomiędzy r. 1823—1829* podane jako część IV pomienionego poematu. Przekład *Dziadów* poprzedza pięć pojedynczych zarzysów, opracowanych przez samego tłómacza. Na końcu znajdują się: Hymn do M. Boskiej Zwiastowania, Oda do młodości, Farys, Rozum a wiara, Arcymistrz, Mędry, Rozmowa wieczorna, Nocleg w Upieciu, trzy inne jeszcze utwory liryczne i cztery bajki. Przekład cały poprzedził tłómacz przedmowa, w której przypomina, że jeszcze w r. 1837 wydał przekład *Konrada*, a na 3 lata przedtem drukował w „Kwietach“ *Ode do młodości*. Pierwsze przekłady czeskie z Mickiewicza ukazały się jeszcze przed rokiem 1830. Zbiór, o którym tu mowa, jest prawie nawskroś arcydziełem.

(1) *G. Warszawska* w numerze z d. 6 Czerwca pisze, że Sobieszczański pozostawił w rękopiśmie kilkatomową geografję Starożytności Polski.

HISTORIA ZBRODNI

T O M II.

DZIEŃ CZWARTY.

Zwycięstwo.

(Dalszy ciąg).

Liczyć na gwardyę narodową! Lecz generał Lawoëstyn nie miał nawet jeszcze komendy. Liczyć na armię? Lecz generał Neumayer był w Lyonie a nie w Paryżu. Poszedłby na pomoc Zgromadzeniu? Komu o tem wiadomo? Co do Lawoëstyna, czyż nie siedział na dwóch stołkach? Byłż się go pewnym? Wzwać do broni 8-my legion? Lecz Forestier nie był jego pułkownikiem. 5-ty i 6-ty. Lecz Gressier i Howyne byli zaledwo w nich podpułkownikami, czyż ich usłuchają legie? Odwołać się do kommissarza Yona? Lecz czy będzie posłusznym samej tylko lewicy? Był agentem Zgromadzenia, a przeto—większości, nie zaś mniejszości.

Tyle kwestyj! Atoli te kwestye gdyby nawet przypuścić, iż są rozwiązane i to w sensie powodzenia, to czyż samo powodzenie nie jest jeszcze kwestyą?

Kwestyą nie jest nigdy powodzenie, leez zawsze prawo. A gdybyśmy nawet mieli powodzenie, nie mielibyśmy prawa.

Ażeby więc prezydenta, potrzeba na to było rozkazu Zgromadzenia, zastąpilibyśmy zaś ten rozkaz, gwałtem dokonany przez lewicę... Teraz przypuściwszy opór, potrzebaby przelać krew.

Prawo pogwałcone prowadzi do przelania krwi. A czemże jestto? Zbrodnią.

— Bynajmniej—zawołał—jest to *salus populi*.

I dodał.

— *Suprema lex*.

— Lecz nie dla mnie—odrzekłem. Nie zabiłbym dziecka dla uratowania ludu.

— Katon zabiłby.

— Chrystus nie.

I dodałem:

— Pan masz za sobą całą starożytność. Mówisz w duchu prawdy greckiej i rzymskiej—ja w duchu prawdy ludzkiej. Widnokrag nowy, szerszym jest od starego.

Nastało milczenie. On je przerwał.

— Zatem prezydent rozpocznie napad.

— Niech się stanie.

— A wy stoczycie walkę, przegraną z góry.

— Lękam się.

— A ta walka nierówna nie może się skończyć dla pana, panie Wiktorze Hugo, inaczej jeno śmiercią lub wygnaniem.

— Zdaje mi się.

— Śmierć jest tylko chwilą, ale wygnanie ciągnie się długo.

— Jest przyzwyczajeniem, którego się nauczyć trzeba.

Mówił dalej:

— Pan nietylko wygnanym będziesz, ale i spotwarzonym.

— To przyzwyczajenie znane.

— A czy pan wiesz, co już mówią?

— Że?

— Żes pan rozniewany na niego o to, iż cię nie chciał zrobić ministrem.

— Lecz pan przecież wiesz, że...

— Ja wiem, że rzecz ma się przeciwnie. To on, który ministeryum panu ofiarował, pan zaś, który je odmówiłeś.

— A więc...

— Skłamię.

— Cóż mi to szkodzi!

Zawołał głośno:

— Więć pan wprowadziłeś do Francyi Bonapartych (1), a sam będziesz wygnany przez nich!

— Kto wie—rzekłem—czym nie popełnił błędu? Lecz ta niesprawiedliwość będzie może sprawiedliwością.

Zamilkliśmy obaj. On rzekł znowu:

— Będiesz—że pan mógł żyć bez Paryża?

— Będę miał Ocean.

— Pójdiesz więc nad morze?

— Tak mi się zdaje.

— To smutne.

— To wielkie.

Znów nastąpiła pauza.

— Pan nie wiesz—rzekł—co to jest wygnanie, ale ja wiem. To straszne! Jabym go nie zaczął nanowo. Śmierć jest światem z kąd się nie wraca, ale wygnanie światem, gdzie wrócić niepodobna.

— Gdy trzeba będzie—rzekłem—pójdę i powrócę.

— Raczej umrzeć. Porzucić życie to nic, leez porzucić ojczyznę...

— Niestety!—to wszystko!

— Więć pocóż godzić się na nic, gdy go uniknąć można? Cóż pan wyżej stawiasz nad ojczyznę?

— Sumienie.

Odpowiedź ta wprawiła go w marzenie. wszakże rzekł znowu:

— Lecz zastanowiwszy się—sumienie pańskie zgodzić się powinno.

— Nie.

— Dlaczego?

— Mówiłem już. Ponieważ sumienie moje jest już takie, że nie stawia niczego po nad siebie. Czuję je nad sobą tak samo, jak wzgórze uczułyby mogło umieszczoną pochodnię nad sobą.

Całe życie jest przepaścią, ale sumienie oświeca mi je naokoło.

— I ja także—zawołał—a oświadczam—dodaje W. Hugo—że nie można mówić szczerzej i lojalniej—i ja także, czuję i widzę moje sumienie. Ono mi przyświadcza. Wydaje się jakgdybym zdradzał Napoleona (III)—nie, ja mu służę. Ochronić go od zbrodni, jestto uratować go. Próbowałem wszelkich sposobów, pozostaje mi tylko ten; uwięzić go. Przychodząc z tem do pana i działając przeciw niemu, sprzysięgam się przeciw niemu i dla niego, przeciw jego władzy i dla jego honoru. To, co czynię, dobrem jest.

— Prawda—odrzekłem.—Myślisz pan szlachetnie.

I dodałem:

— Lecz dwa nasze obowiązki odmienne są. Ja nie mógłbym przeszkodzić Bonapartemu w popełnieniu zbrodni, chyba, iżbym ją sam popełnił. Ja nie chcę ani 18 Brumaire'a ani 18 Fructidora; wolę być wygnańcem aniżeli skazywać na wygnanie. Mam do wyboru pomiędzy dwiema zbrodniami, moją i Ludwika Bonapartego,—otóż nie chcę zbrodni swojej.

— Wtedy jednak poddasz się pan zbrodni jego?

— Wolę się jej poddać, aniżeli ją sam popełnić.

Zamyślił się, a potem rzekł:

— Niech i tak będzie!

I dodał:

— Być może, że mamy obaj słusność.

— Tak sędzę.

I uściśnałem go za rękę.

Była już trzecia rano. Rozmowa trwała przeszło dwie godziny. Położyłem się dopiero po jej spisaniu.

(1) D. 14 Czerwca 1847 r. Izba parów. Zob książkę: *Avant l'exil*.

Czytając tę rozmowę piękną ale dziwną, w której poznaje się księcia Napoleona z odcienia demokratyczno-republikańskiego, jakim zawsze kłut w oczy Napoleona, gdy już był cesarzem Napoleonem III, — niepodobna niewywnioskować, że W. Hugo do wszystkiego innego raczej był zdątnym, aniżeli do przeważenia szali na tę lub ową stronę, w czasach politycznych. Rzecz o sumieniu wyłożył szczytnie i takby ją wszyscy biorący udział w rządzie, pojmovać powinni, atoli w chwilach ważnych przesilen, zasady to schodzą z gruntu moralnego a stają się poprostu doktrynerstwem. Wiadomo wreszcie dziś już faktycznie, jak dalece opozycya w owym r. 1851, okazała się słabą, niedołączną, niebędącą, co najważniejsze, ogólną; — a i to wiadomo, że ludzie tych poglądów co Hugo, gdy mówi, że nie pochwała 18 Brumaira, choćby przez to oddalić miał 18 Fructidora, nie nadadzą się nigdy nie już na Cromwellów lub wielkich przetrzycieli społeczeństw i ludów, ale poprostu na ludzi, którzyby w polityce cokolwiek energiczniego a zbawiennego, zdziałać mogli.

W następnym rozdziale, streszcza autor pokrótce te osławione i ohydne „kommissye mieszane“, które bez winy i przyczyny, ferowały wyroki *en masse*, załatwiając się krótko, bo znak—znaczył wysyłkę do Lambessy, znak † do Kajenny, a O, uwolnienie.

Charakterystyczną też jest rzeczą, że gdy kilku republikanów katolików, chciało zamówić mszę za dusze poległych, żaden z księży w Paryżu odprawić jej nie chciał i dopiero w okolicy Paryża biedak jakiś starsuszek wikaryusz, zgodził się, jak mówi autor: „na wyszeptanie po cichutku tej mszy w ucho dobrego Boga, z prośbą jednak, iżby nie nikomu o tem nie powiedział“.

W rozdziale XV p. t. „W jaki sposób wychodziło się z Ham“ opowiada dalej:

W nocy z dnia 7 na 8 Stycznia Charras spał. Stuk odciąganych ryglów, przebudził go.

— Oho—rzekł—wpakują nas do lochu. — I zapał na nowo.

W godzinę potem drzwi się otwarły. Wehodzi komendant fortu w wielkim uniformie z agentem policyjnym, niosącym światło.

Było około czwartej rano.

— Pułkowniku—rzekł komendant—ubieraj się pan natychmiast.

— Poco?

— Odjedziesz pan.

— Znowu zapewne podłość jaka.

Komendant milczał. Charras ubiera się.

Kiedy się kończył ubierać, nadszedł jakiś młody nizki człowiek, ubrany czarno.

Tenże zwrócił się do Charrasa.

— Pułkownik opuścisz twierdzę, opuścisz Francję, mam rozkaz odwieźć cię do granicy.

Charras zawołał:

— Jeżeli mam porzucić Francję, to nie chcę porzucić twierdzy. Jestto nowy zamach. Nikt nie ma prawa skazywać mnie na wygnanie, tak jak nie miano prawa więzić mnie. Mam za sobą prawo, moje dawne usługi, mój mandat. Kto pan jesteś?

— Jestem szefem gabinetu ministra spraw wewnętrznych.

— Ah! więc to pan zwie się Leopold Lehon!

Młody człowiek spuścił oczy.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się arkusz 23-ci powieści pod tytułem: Zamek Daly.

TREŚĆ. Katarzyna z Maciejowskich Wapowska, przez K. Wł. Wójcickiego. — Sąsiedzi, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Pytanie, (poezya), przez St. z Op. — Nowiny paryzkie. — Kłopot dziadunia, (dokończenie), obrazek w jednej odślonie, przez Ludwikę S. — Wiadomości literackie, artystyczne i naukowe. — Historia zbrodni, W. Hugo (dalszy ciąg), przełożył Edward Lubowski.

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 30 Мая 1878 года